

EWA REWERS, MARIA SOLARSKA, ANNA ZIĘBIŃSKA-WITEK,
MAREK KRAJEWSKI, JAN SOWA

DYSCYPLINY CZY STUDIA?

Badania jakościowe
we współczesnym
pejzażu wiedzy

Dyskusja panelowa z udziałem Ewy Rewers (Instytut Kulturoznawstwa UAM), Marii Solarskiej (Instytut Historii UAM), Anny Ziębińskiej-Witek (Instytut Kulturoznawstwa UMCS), Marka Krajewskiego (Instytut Socjologii UAM) i Jana Sowy (Wydział Polonistyki UAM) odbyła się 27 maja 2015 roku podczas Transdyscyplinarnego Seminarium Badań Jakościowych na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Spotkanie prowadziła Marianna Michałowska.

Marianna Michałowska: Pomysł na zorganizowanie dyskusji narodził się w Instytucie Kulturoznawstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zaproponowaliśmy, wraz z Agatą Skórzyńską i Rafałem Koschanym, refleksję nad współczesnym statusem dyscyplin naukowych i wyrastających z nich nurtów określanych jako studia. Chcieliśmy zastanowić się, czy i w jaki sposób współczesne podejścia: trans-, inter-, multidyscyplinarne dają możliwości dla prowadzenia badań jakościowych, a także jak ten typ badań ma się do tradycyjnych podziałów dyscyplinarnych. Czy nurt tworzenia nowych studiów, a więc studiów kulturowych, wizualnych, materialnych, który rozwijał się dynamicznie w XX wieku, jest jeszcze możliwy do zastosowania w perspektywie instytucjonalnej? Badacze, których zaprosiliśmy do dyskusji, są nie tylko znakomitymi naukowcami, ale wykorzystują w swojej praktyce badawczej to, o czym będziemy dzisiaj mówić – podejście transdyscyplinarne lub transdyscyplinarne, jak chcieliby inni. Zaczniemy rozmowę od refleksji nad współczesną świadomością transdyscyplinowości i o jej kształt w odniesieniu do badań jakościowych.

Ewa Rewers: Pytanie o dyscypliny i studia, w tym transdyscyplinarne, ma charakter praktyczny i merytoryczny. Jak wiadomo, możemy robić stopnie naukowe w dyscyplinach, natomiast nie możemy robić ich w studiach, ze studiów czy w obrębie studiów – jakkolwiek byśmy to nazwali. A zatem, dyscypliny ze względów formalnych są uprzywilejowane i dzisiaj granica pomiędzy dyscyplinami i studiami ma charakter formalny. Jest to podtrzymywana przez instytucje nauki różnica dająca pierwszeństwo starym dyscyplinom. Przechodząc na poziom merytoryczny, wszystko, cokolwiek możemy o tej granicy powiedzieć, jest związane z tym, że potrafimy ewentualne różnice teoretycznie wykazać, natomiast nie możemy ich pokazać na podstawie przeprowadzonych badań. A zatem, jak podpowiada Michel Serres w *Naukach*¹, rozważania prowadzone tutaj mają charakter spekulatywny, ponieważ są tylko przygotowaniem, pewną propozycją tego, w jaki sposób możemy różnic między dyscyplinami i studiami poszukiwać. Nie ma żadnego kodeksu, żadnego ustalonego zespołu warunków, które musiałyby spełniać dyscypliny czy też studia, aby można je było różnicować w sposób merytoryczny i przedmiotowy, ustalony w obrębie środowiska badaczy.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę nauki (dyscypliny, subdyscypliny) jako podstawę transdyscyplinarności (o ile to pojęcie akceptujemy, bo przecież nie jest ono powszechnie używane, a także znaczenia, jakie się nadaje terminowi transdyscyplinowość, są często rozbieżne) – to podporządkowanie ich jednej, spójnej koncepcji metodologicznej okazuje się niemożliwe. Przynajmniej na gruncie mojej praktyki badawczej nie udało się tego w żaden sposób przeprowadzić. W związku z tym, jeśli w ogóle postawimy pytanie o dyscyplinarność, studia i transdyscyplinarność na gruncie historii nauki, to przede wszystkim trzeba się zastanowić nad tym, za jaką formację naukę w danym momencie się uważa. Jeżeli weźmiemy pod uwagę bardzo powszechne w drugiej połowie XX wieku

¹ M. Serres, *Conversations on Science, Culture, and Time: Michel Serres with Bruno Latour*, przeł. S. Lapidus, University of Michigan Press, Michigan 1995.

przekonanie, że nauka jest jedną z formacji kulturowych wchodzących w relacje z innymi formacjami kulturowymi, uznamy również, że jako jedna z formacji kulturowych wchodzi w innego rodzaju relacje z pozostałymi formacjami: społecznymi, politycznymi, ekonomicznymi. W tej sytuacji odpowiedzieć na pytanie o transdyscyplinarność, to jest nie tylko odpowiedzieć na pytanie o to, w jaki sposób odnoszą się nauki humanistyczne i społeczne do pozostałych nauk, czyli na przykład do nauk przyrodniczych, lecz przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, jakie są ich powiązania z pozostałymi formacjami. Tu również odpowiedź może być wyłącznie teoretyczna. Założenie, że nauka jest formacją kulturową nie jest ani powszechnie akceptowane, ani też – nie musi przekonywać tych, którzy zajmują inną postawę wobec nauki. Podnosząc tę kwestię, podążam za koncepcją filozofii i historii nauki Michela Serres'a, chociaż mogę przewidzieć krytykę tej koncepcji, uważam, że to, co Serres proponuje, jest niezwykle inspirujące także w badaniach swobodnie dzisiaj organizowanych ponad formalnymi dyscyplinami. Rzuca również światło na postawy badaczy włączających swoje badania w zakres transdyscyplinarności.

W takim właśnie sposobie myślenia znajdujemy bowiem odpowiedź merytoryczną na pytanie, jaka jest różnica między dyscyplinami i studiami. Po pierwsze, dyscypliny rozpatruje się jako takie, które mają swoją *arche*, jakkolwiek będzie ona rozumiana – dyscypliny starają się ją odnaleźć i zdefiniować. Po drugie, mają swój inwariant, który może się rozszczepiać na warianty teoretyczne czy subdyscypliny, nauki się przecież rozwijają, wywodzą się z nich nowe, lecz jednak przekonanie o istnieniu takiego inwariantu, pamięć o inwariantcie jest dosyć żywa. I wreszcie, po trzecie, dyscypliny rozwijają się w nawiązaniu do jakiejś ideologicznej genealogii dyscypliny, która uspoźnia oddalające się warianty, lecz nie wysuwają jej na pierwszy plan, nadużywając w zamian terminu „obiektywność”. Jeśli spojrzeć na studia z tego punktu widzenia, moglibyśmy powiedzieć, że przede wszystkim studia nie mają jakiegokolwiek *arche*. *Arche* jest im niepotrzebna do zaistnienia, bo radzą sobie bez ugruntowania metafizycznego, a także nie przywiązują takiej wagi, jak dyscypliny do długiego trwania. Wyrzeczenie się *arche* może być zatem rozumiane jako rodzaj wyboru, który filozofia przełomu lat 70. i 80. XX w. szczególnie intensywnie analizowała i rozpowszechniała. Z drugiej strony, studia nie potrzebują i często nie mają inwariantu, dlatego że ich struktura od samego początku wyraża się w wielości mającej strukturę niehierarchiczną. Ich ideologiczna genealogia natomiast – odwrotnie niż w naukach, odgrywa często pierwszoplanową rolę. Powiązanie z formacjami społecznymi, ekonomicznymi, politycznymi stanowi ich cechę wyróżniającą.

W filozofii nauki końca XX wieku pojawiły się dwie, bardzo ciekawe koncepcje niehierarchiczności, o których mowa. Ciekawe, że dostrzeżono je nie tylko w strukturze studiów, lecz także w opisie nauk, co doprowadziło do ukształtowania się świadomości metodologicznej, którą obecnie czyni się przedmiotem

dyskusji. Obie mają metaforyczny charakter. Michel Serres powiedział, że w XXI wieku nauki osiągnęły takie stadium, w którym nie tworzą systemu, lecz chmurę. Można to sobie wyobrazić w sposób czysto fizyczny jako prostą analogię, lecz można również starać się wyrazić w terminach teorii komunikacji i wtedy chmura stanowi coś bardzo konkretnego, znanego z praktyk komunikacyjnych. Nieco wcześniej pojawiła się natomiast koncepcja nauk Paula Feyerabenda i jej podsumowanie: „Nauka jest kolażem a nie systemem” sformułowane w *Science in a Free Society*². Gdyby pójść dalej, moglibyśmy spojrzeć na omawianą różnicę jeszcze inaczej, a mianowicie powiedzieć, że w sposobie myślenia o studiach epistemologia zbliża się w sposób planowany do *doksy*. Przede wszystkim jednak epistemologia zmienia swój centryczny charakter i staje się epistemologią pogranicza, epistemologią komunikacji, epistemologią kładącą główny nacisk na relacje i ich węzły. Inne podsumowanie tego wątku wskazuje na wyraźny porządek metaforyczny, który wyłonił się z myślenia o studiach, a mianowicie na karierę terminu „wyobraźnia” jako pewnego rodzaju taktyki badawczej. Nie myślę tylko o wyobraźni socjologicznej, książka Charlesa Wrighta Millsa pod tym samym tytułem pochodzi z 1959 roku, ale również o stosunkowo nowej koncepcji wyobraźni antropologicznej Andrzeja Mencwela³.

Mamy zatem dzisiaj co najmniej trzy sposoby ujmowania relacji między dyscyplinami i studiami, które stanowią podstawy myślenia o ujęciach transdyscyplinarnych. Pierwszy może być wywiedziony z filozofii Leibniza poszukującej harmonii pomiędzy różnymi naukami (monadami). Monady te, niczego o sobie nawzajem nie wiedząc (lub wiedząc niewiele), utrzymują jednak jakieś *status quo*, którego celem jest harmonijny rozwój całości, w tym również rozwój poszczególnych monad. Drugą koncepcję, w której tkwimy najgłębiej, nazwałabym konfliktową. W humanistyce uznaje się ją za szczególnie związaną z książką, a wcześniej wykładem C.P. Snowa⁴ o dwóch kulturach. Została tam sformułowana koncepcja nierozwiązywalnego konfliktu między naukami przyrodniczymi i naukami humanistycznymi, charakteryzującego się wzajemnym niezrozumieniem, a nawet niechęcią do znalezienia wspólnej drogi. W ramach tej koncepcji znajdujemy wiele możliwości, także próbę pojednania, którą sformułował Edward O. Wilson w *Consilience: The Unity of Knowledge* (1998)⁵. Warunkiem wzajemnego zrozumienia miała być akceptacja metod przyrodników na gruncie nauk humanistycznych i społecznych. Nic dziwnego, że warunek ten został odczytany jako próba kolonizacji nauk społecznych i humanistyki. W tym obszarze lokuje się również koncepcja Brunona Latoura sformułowana w *Laboratory Life*⁶, gdzie pisze o tym, że w zasadzie jesteśmy plemionami, które

2 P. Feyerabend, *Science in a Free Society*, New Left Books, London 1978.

3 A. Mencwel, *Wyobraźnia antropologiczna. Próby i studia*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2007.

4 C.P. Snow, *The Two Cultures and the Scientific Revolution* [1959], Cambridge University Press, New York 1961.

5 E.O. Wilson, *Consilience: The Unity of Knowledge*, Alfred A. Knopf Inc., New York 1998.

6 B. Latour, S. Woolgar, *Laboratory Life: The Construction of Scientific Facts*, Princeton University Press, Princeton 1986.

mogą siebie co najwyżej, obserwować. Czyli badacze – z nauk przyrodniczych, humanistycznych, społecznych – możemy, co najwyżej, obserwować nawzajem swoje praktyki jak praktyki obcych plemion. Co więcej, jeśli mówimy o nauce, to podejmowane na jej gruncie praktyki nie tyle informują o, ile performują rzeczywistość, czyli świat, w jakim żyjemy.

Gdyby założyć, że mamy jeszcze trzecią koncepcję, którą wszyscy pamiętamy, bo wywodzi się ona ze *Struktury rewolucji naukowych* i *Drogi po strukturze* Thomasa Kuhna⁷, to musielibyśmy powiedzieć, że możliwe jest też ujęcie organicystyczne nauk, czyli takie, w którym nauki rozwijają się tak, jak organizmy. Ewolucja biologiczna staje się wzorem dla rozwoju nauk, szczególnie wtedy, gdy dwie dyscypliny wyrastają z jednej. O studiach w takiej perspektywie nie ma mowy, one się w tym ujęciu nie mieszczą i tym samym jest to najmniej adekwatna, najmniej pożyteczna dzisiaj podstawa do myślenia o tym, co dzieje się między dyscyplinami i studiami, które dążą tak czy inaczej do zbliżenia.

Kwestie związane z podstawami tworzenia ujęć transdyscyplinarnych są nadal uzależnione od przedstawionych sposobów myślenia. Ich opracowanie uważam za bardzo niewystarczające nie tyle z powodu niezaawansowania badań, ile przekonania, że nie ma powodu, by się do nich przywiązywać, ponieważ raczej wcześniej niż później staną się nieaktualne. To daje pole działaniom intuicyjnym, *ex post* przedstawianym jako interdyscyplinarne. Powiedziałabym, że coraz częściej i w coraz większym stopniu nastawieni jesteśmy, zwłaszcza w obrębie nauk humanistycznych, na promowanie praktyki jako badania i jednocześnie marginalizowania wyobraźni w jej Kantowskim rozumieniu. Wyobraźnia nie stała się terminem dominującym – przeciwnie, została zepchnięta na drugi plan przez badania partycypacyjne. Co więcej, nie potrafimy uprawiać badań – kolaży, przekazywać wyników w chmurze. To, co robimy w praktyce, daje się pokazać jako zastawy hybryd: teoretycznych, metodologicznych, aksjologicznych. Taką hybrydą, która szczególnie mi się podoba, jest socjologia kulturowa (ang. *culture sociology*), szczególnie w jej amerykańskim wariancie, w którym wszyscy – od Georga Simmela po Ruth Benedict i Frederica Jamesona są nikim innym jak socjologami kulturowymi. W ten sposób powstała opozycja między socjologią kultury i socjologią kulturową.

Na zakończenie, przypominałabym, że to, co możemy dzisiaj zrobić, to spojrzeć jeszcze raz na stary model relacji między sztuką, humanistyką wraz z naukami społecznymi oraz naukami twardymi opracowany przez Augusta Comte'a. Mówił on o socjologii jako trzeciej drodze między naukami ścisłymi czy naukami przyrodniczymi oraz sztuką. W ostatnich latach, spoglądając na metody jakościowe, możemy powiedzieć, że nie znajdują się „pomiędzy”, lecz występują symultanicznie w nieskończonych konfiguracjach zależnych jedynie od pomysłowości, doświadczenia i kompetencji badaczy.

7 T. Kuhn, *Struktura rewolucji naukowych*, przeł. H. Ostromięcka, Aletheia, Warszawa 2011; T. Kuhn, *Droga po strukturze*, przeł. S. Amsterdamski, Sic!, Warszawa 2003.

Maria Solarska: Chciałabym zwrócić uwagę, jako historyczka z wykształcenia, na wymiar praktyczny problematyki, o której mamy dyskutować, na odniesienie różnych transdyscyplinarności, interdyscyplinarności, multidyscyplinarności do rdzenia, z którego określenia te pochodzą, to znaczy do dyscyplinarności i relacji władzy, jakie przez owe dyscypliny są zakładane. Projekty, które dodają pewien przedrostek do dyscyplinarności, próbują wprowadzić w hierarchiczność dyscyplin naukowych inną relację władzy, bardziej egalitarną. Te projekty rozwijają się i są bardzo ciekawe (to sympozjum także świadczy o tym, że są one realizowane), jednocześnie jednak zderzają się one z rzeczywistością, o której wspomniała Pani prof. Rewers na początku, to znaczy z instytucją i z instytucjonalnością nauki, z tym, że stopnie, tytuły nadaje się w określonych obszarach. Wynikają z tego różne kłopoty wtedy, kiedy powstają prace, będące na przecięciu różnych dyscyplin, bo nie wiadomo, kto ma je oceniać, w ramach jakiej dyscypliny ma się dostać stopień i kogo się reprezentuje.

Mamy więc, z jednej strony, rzeczywistość praktyk badawczych, która zmierza do korzystania z dorobku innych nauk, czyli szerokiej palety nauk humanistycznych i przyrodniczych, z drugiej strony ta rzeczywistość jest uwikłana w konieczność wpasowania się w ramy określonej dyscypliny. Owa rzeczywistość jest związana z instytucjonalną organizacją nauki. Dyscypliny wykonują pewne ruchy umacniające swoje tożsamości, wręcz okopują się na swoich pozycjach. Widać to przy przeprowadzaniu różnych procedur – grantowych, konkursowych czy dotyczących awansów w karierze naukowej. Pojawia się pytanie, czy ktoś może być doktorem habilitowanym archeologii, skoro nigdy nie kopał? Czy archeolog bez łopaty jest archeologiem? Czy, jeśli zaakceptujemy archeologa, który nigdy nie kopał i nie wykopał niczego, tożsamość archeologii nam się nie rozsypie, nie rozplynie w sąsiednich naukach? W związku z tym, z jednej strony mamy ruch zmierzający do współpracy, do wspólnych projektów międzydziedzinowych i międzydyscyplinarnych, z drugiej – mamy ruch odcinający te dążenia. Wpisuje się on w tradycję, którą chciałabym przypomnieć i zastanowić się, czy ten ruch zmierza rzeczywiście do współpracy i wypracowania nowego modelu uprawiania nauki w ogóle, czy też jest to powrót do starej dyskusji, popularnej szczególnie w naukach humanistycznych i społecznych, i rywalizacji międzydyscyplinarnej, która z nauk jest „równiejsza pośród innych”. Ten jeszcze dziewiętnastowieczny spór pomiędzy historią i socjologią zdaje się ciągle odrażać w różnych formach i transformacjach.

Wreszcie – chciałabym zwrócić uwagę na jeszcze jeden problem związany z okopywaniem się dyscyplin, na który natrafiają dążenia nauk. W ramach poszczególnych dyscyplin mnożą się specjalizacje. Mam na myśli to, że w ramach określonej dziedziny badań dochodzi do takiego wyspecjalizowania i wydzielenia tak specjalistycznych działeczek wokół których narasta ogromna literatura, że już sami specjaliści w dziedzinie nie są w stanie jej opanować. W związku z tym dialog jest coraz trudniejszy, coraz trudniej jest odwołać się do pewnego wspólnego gruntu, nie chcę powiedzieć kanonu, ale takiego obszaru, w którym można budować wymianę myśli. Nie można odwołać się do koncepcji, którą

wszyscy znamy, ponieważ zawsze może pojawić się ktoś, kto w ramach swojej dziedzinki powie: a nie, u nas jest zupełnie inaczej. Bardzo kibicuję wszystkim projektom inter-, multidyscyplinarnym i wszelkim innym, znoszącym hierarchię między dyscyplinami, wprowadzającym większą równość i odrzucającym dawny spór: czy socjologia jest szerszą dyscypliną, wobec której pozostałe są wtórne, czy też historia jest tą dyscypliną, ponieważ wszystkie nauki są historyczne. Historia jest królową nauk, a może jest nią filozofia? Rozwiązaniem tych problemów, tej wojny o dominację, o królowanie, mogłyby być studia interdyscyplinarne, natomiast obawiam się, że one natrafiają na bardzo dużo problemów praktycznych i trudności instytucjonalnych.

Anna Ziębińska-Witek: Proszę Państwa, wydaje mi się, że należy rozpocząć od bardzo ważnej rzeczy, czyli zdefiniowania pojęcia transdyscyplinarności. Na potrzeby naszej dyskusji i swoich badań przyjmuję, że transdyscyplinarność to burzenie granic między dyscyplinami, tworzenie całkowicie nowych przedmiotów badań oraz nowych metodologii, natomiast interdyscyplinarność to spojrzenie na dany przedmiot badań z perspektywy różnych dyscyplin, ale z poszanowaniem odrębności tychże dyscyplin i ich metodologii. Oczywiście, zgadzam się z prof. Rewers, że istnieje wiele definicji tego pojęcia, ale przyjmuję tę najprostszą.

Mam to szczęście i nieszczęście jednocześnie, że w swoim zawodowym życiu partycypuję w trzech różnych środowiskach: z wykształcenia jestem historykiem, instytucjonalnie kulturoznawcą, a zainteresowania badawcze kieruję w stronę muzeologii. W każdej z tych dyscyplin podejście do trans-, czy interdyscyplinarności wygląda nieco inaczej (najgorzej w obrębie historii, do czego jeszcze powrócę). Najogólniej należy powiedzieć, że w procesie ewolucji nauki komplementarne są dwie tendencje – dywergencja i konwergencja. Dywergencja oznacza wzrost specjalizacji – każdy badacz zajmuje się coraz mniejszym fragmentem swojej dziedziny i w konsekwencji powstają nowe dyscypliny wiedzy, a konwergencja to tendencja do szeroko rozumianej integracji. Te dwa trendy występują jednocześnie, z różnym nasileniem w zależności od dziedziny. Z punktu widzenia edukacji wydaje mi się, że istnieje sens zachowania podziału na dyscypliny, z tym, że zaakcentowałabym silną potrzebę edukacji interdyscyplinarności. To znaczy, że można kształcić młodzież w obrębie pojedynczej dyscypliny, ale z szerszym nastawieniem i pewnego rodzaju otwartością. Jeszcze przed wyborem określonej specjalizacji studenci powinni mieć wykształcone takie umiejętności, które określa się mianem umiejętności „przenośnych”, czyli dających się wykorzystać w innych dyscyplinach.

Tendencja do przekraczania granic między określonymi dziedzinami wiedzy nasila się w okresach zmian doświadczeń historycznych i sytuacji społecznej (czego doświadczamy współcześnie), kiedy istniejąca wiedza, która była gromadzona dotychczas skutecznymi metodami, okazuje się niepełna i nieprzystająca do nowej problematyki lub po prostu mało twórcza poznawczo. Wtedy, zgodnie z teorią Thomasa Kuhna, powstają nowe pola badawcze, zmieniają się paradygmaty, rozmywają granice między dyscyplinami.

To, z czym mamy do czynienia obecnie, to – z jednej strony – proces umasowienia kształcenia wyższego, który prowadzi do rozdrobnienia struktury prowadzonych badań, gdyż wysoka liczba pracowników akademickich powoduje pomnożenie tworzonej przez nich wiedzy, nie zawsze, dodajmy, najwyższej jakości. Wiedza staje się coraz bardziej specjalistyczna i coraz węższa, co mierzy się liczbą periodyków i monografii, których nikt tak naprawdę nie dzisiaj w stanie ogarnąć. Komputer w tym przypadku nie jest przydatny, bo wszystko trzeba samemu przeczytać. To jest jedna strona medalu. Z drugiej strony, w latach 60. i 70. XX wieku na Zachodzie, wraz z narodzinami społeczeństwa postindustrialnego pojawiła się nowa wiedza: teoretyczna, aplikacyjna i nastawiona na rozwiązywanie konkretnych problemów czy zadań. Jest ona, ze swej natury, interdyscyplinarna i tworzona w zróżnicowanym otoczeniu instytucjonalnym, często poza tradycyjną strukturą wydziałową. Duży nacisk kładzie się na sposób wykorzystania wiedzy, a badania naukowe podlegają systematycznym procesom naukowej ewaluacji. Obecnie mamy do czynienia ze swoistym konfliktem (najbardziej widocznym w naukach społecznych): wiedza zorientowana na rozwiązywanie określonych problemów i tworzona przez zespoły, zatem w sposób naturalny interdyscyplinarna, „wdziera się” w archaiczną strukturę dyscyplin akademickich, coraz bardziej rozdrobnionych.

Ze strony akademików bardzo często pojawiają się oskarżenia o komercjalizację wiedzy, dlatego, że jest ona aplikowalna. Z kolei, z perspektywy nowej wiedzy, coraz węższe dyscypliny są całkowicie nieprzydatne.

Chciałabym jeszcze na chwilę wrócić do historii, która bardzo często jest postrzegana z zewnątrz jako jednolita struktura, gdy tymczasem jest podzielona na bardzo ściśle specjalizacje i zaręczam Państwu, że starożytnik wie bardzo niewiele na temat na przykład historii XIX wieku. Tutaj o jakakolwiek interdyscyplinarność jest bardzo trudno. Historycy okopali się w swojej fortecy i bardzo ściśle stosują zabiegi wykluczenia, tzn. jakakolwiek praca, która wybiega poza ściśle określone, historyczne „metody” (co zwykle znaczy: „siedzę w archiwum i czytam źródła”) jest uznawana za pracę niehistoryczną. Zasadniczo to, co istnieje w tej dziedzinie wiedzy, można nazwać pseudointerdyscyplinarnością lub interdyscyplinarnością deklaratywną. Znaczy to, że historycy czasami odwołują się do prac z historii sztuki lub do prac archeologicznych, ale nie znają ich dobrze. Znają je wyrywkowo i wybierają tylko te tezy, które im pasują do dzieła, nie wnikając w to, czy te tezy mogą być użyte na gruncie tych nauk (przeważnie archeologii i historii sztuki). Powstaje zamknięty, jak to określa Przemysław Urbańczyk, krąg wnioskowania, który umożliwia wzajemne wspieranie się hipotez historycznych i archeologicznych, które zasadniczo mają bardzo słabą podbudowę. W naukach kulturoznawczych wygląda to o wiele lepiej, a bardzo dobrze sprawdza się na gruncie muzeologii, gdzie mamy do czynienia wręcz z połączeniem nauk przyrodniczych i humanistycznych w postaci muzeologii neuronalnej czy neuromuzeologii.

Marek Krajewski: Zaproszenie do tej dyskusji jest dla mnie miłe, ale też kłopotliwe, bo wydaje mi się, że zawsze byłem transdyscyplinarny, natomiast nigdy w sposób systematyczny i głęboki nie zastanawiałem się nad tą kategorią. Kategorie, o których tu mówimy, czyli inter-, trans-, między-, pozadyscyplinarność są możliwe do wyobrażenia, kiedy dostrzeżemy, że sama nauka jest produktem dwóch rodzajów cięć. Pierwsze cięcie wyodrębnia naukę od tego, co nią nie jest, definiuje system uniwersytecki jako jedyne miejsce, w którym w sposób prawomocny może być tworzona wiedza. Bardzo ważnym efektem tego pierwszego cięcia jest również fetyszyzowanie kategorii autonomii. Jest ona bardzo często traktowana jako gwarancja wolności uprawiania nauki, bezstronności badacza, również obiektywności jego poczynań poznawczych.

Drugim rodzajem cięć, które pozwalają nam mówić o inter-, trans-, pozadyscyplinarności, są te, które zachodzą w obrębie samej nauki i które prowadzą do wyodrębnienia poszczególnych dyscyplin. Dyscypliny zazwyczaj walczą o autonomię, wskazując na jakiś unikalny przedmiot zainteresowania albo swoistą perspektywę badania rzeczywistości. Za tym idzie bardzo intensywny rozwój kultury każdej z tych nauk i konkretnego języka, powstają mity założycielskie oraz, czego bym nie ignorował, automitologie.

Dlaczego o tym mówię? Bo te dwa cięcia prowadzą do wyodrębnienia nauki, którą mogę sobie wyobrazić jako rodzaj osobnego kontynentu, na którym zamieszkują różniące się między sobą plemiona. Te plemiona mają pewien poziom wspólnej tożsamości – wszyscy jesteśmy naukowcami, ale z drugiej strony, każde z nich bardzo mocno pielęgnuje osobną tożsamość, która jest warunkiem odrębności określonej nauki. To poczucie odrębności jest bardzo często podkreślane przez – o tym już mówiliśmy dzisiaj – granice instytucjonalne, biurokratyczne, a także materialne. Bardzo często są to także różnice habitusów, sposobów ubierania się i sposobów bycia przedstawicieli poszczególnych dziedzin. Każde z plemion, o których tutaj mówimy, składa się z subplemion i te podziały subdyscyplinarne są często dużo silniejsze niż podziały zachodzące między dyscyplinami. Z mojego doświadczenia wynika, że nierzadko dużo łatwiej jest mi porozumieć się z kulturoznawcą czy antropologiem kultury niż z przedstawicielem socjologii przemysłu albo z kimś, kto uprawia socjologię morską.

Ale to jest tylko wstęp, bo tak naprawdę chciałem powiedzieć o tym, że niektórzy przedstawiciele nauki, tych plemion, podróżują. Mamy do czynienia z dwoma rodzajami tych podróży. Pierwszy to podróże międzyplemienne. Wyprawiamy się do innych dyscyplin po narzędzia, metafory i inspiracje. Bardzo często te podróże prowadzą do powstawania nowych form społecznienia, takich, które można by nazwać – trzymając się wprowadzonej tu metaforyki – transplemionami. Czasami te transplemiona przekształcają się w nowe plemiona, ale dużo częściej są to po prostu ambasady transplemienne, ulokowane w określonych plemionach. Mam tu myśli takie fenomeny, jak *gender studies*, studia wizualne, studia nad materialnością itd.

Warto też zwrócić uwagę na drugi rodzaj podróżowania. Są to podróże międzykontynentalne i one mnie o wiele bardziej interesują. Są one przedsięwzięte poza kontynent nauki, w kierunku światów zewnętrznych wobec świata naukowego. Jeżeli weźmiemy pod uwagę cel tych podróży, to można wyróżnić przynajmniej trzy rodzaje takiego podróżowania międzykontynentalnego. Po pierwsze, są to podróże „za chlebem”. Chodzi mi o te wszystkie rodzaje podróżowania, które wiążą się z komercjalizacją wiedzy, z transferowaniem autorytetu nauki na takie sfery, które naukowego charakteru nie mają. W tym wypadku wiedza i poznanie naukowe stają się towarem, a my jesteśmy jego producentami, ale nie do końca jego właścicielami, ponieważ jedynie odsprzedajemy prawa do tego rodzaju wiedzy. Problemem tego pierwszego rodzaju podróżowania jest to, że ono prywatyzuje wiedzę i stwarza ekonomiczne bariery w dostępie do niej. Dla części osób problemem jest także to, że przekształca naukowca w eksperta, a więc kogoś kto jest wykorzeniony i kto czuje silniejszy związek z rynkiem niż z plemiem, z którego się wywodzi.

Drugim rodzajem podróży są podróże „ewangelizacyjne”. Chodzi o taki rodzaj podróżowania który jest przedsięwzięty po to, żeby zmieniać świadomość jednostek i przekształcać rzeczywistość. Ten rodzaj podróżowania bardzo wzmacnia autorytet nauki, ponieważ opiera się na przekonaniu o wyższości wiedzy naukowej nad każdym innym rodzajem wiedzy, nad każdym innym rodzajem poznania. Problemem jest normatywizm tych podróży, wiążący się z ideologizacją nauki, ale przyznacie Państwo, że one są bardzo kuszące, ponieważ dają naukowcom poczucie sprawstwa i tego, że czują się potrzebni. No i trzeci rodzaj podróżowania, który jest najbardziej mi bliski – podróżowanie „za wiedzą”. Opiera się ono na złamaniu podstawowego konsensu, który funduje naukę, a więc przekonania, że tylko tutaj, w jej obszarze, jest tworzona wiedza. Mam tutaj na myśli działania podejmowane przez naukowców, które wiążą się z animacją społeczną, kulturową, z badaniami partycypacyjnymi, z projektowaniem partycypacyjnym. Chodzi mi również o tego rodzaju działania, które polegają na przykład na poszukiwaniu w tradycyjnej medycynie rozwiązań nieuleczalnych chorób, w kulturze hakerskiej – nowych rozwiązań informatycznych w sztuce, nowych metodologii. W tym trzecim rodzaju podróżowania jest istotne to, że opiera się ono na potrzebie integrowania bardzo różnych rodzajów wiedzy i jest oparte na czystych relacjach – nie ma tu zapędów kolonizatorskich, ale jest równoprawność.

Na zakończenie jeszcze o czwartym rodzaju podróżowania, a mianowicie o podróżach, które nazwałem podróżowaniem bez przemieszczania się. To są podróże na skutek zmiany zewnętrznego wobec nauki kontekstu. O trzech rzeczach warto przy tym powiedzieć: po pierwsze, o wycofywaniu się państwa z pełnienia ról publicznych, po drugie, o rozwoju tego, co się nazywa informacyjnym feudalizmem, a więc tego, co jest konsekwencją rozwoju praw autorskich i patentowych, które ograniczają dostęp do wiedzy. Po trzecie, to jest także to,

na co zwracała uwagę dekadę temu Helga Nowotny – a więc zmieniające się oczekiwania wobec nauki i żądanie tego, by była ona bardziej aplikacyjna, żeby tworzyła wiedzę użyteczną społecznie, żeby była mniej wsobna, a bardziej zaangażowana. W polskim kontekście to podróżowanie bez przemieszczania się jest wywołane przez zmiany demograficzne, które nie przejawiają się tylko w tym, że zmniejsza się nam liczba studentów, ale także odciskają się na relacjach pomiędzy naukami. Zwróćcie Państwo uwagę, że mamy do czynienia z dosyć daleko posuniętym kanibalizmem międzyplemiennym. Jest on najbardziej widoczny w relacjach zachodzących między naukami przyrodniczymi a społecznymi. Mamy do czynienia także ze zjawiskiem, które mnie bardzo niepokoi, a czasami śmieszny – to są próby scjentyfikacji humanistyki po to, żeby mogła ona osiągać rynkowy albo parametryzacyjny sukces. Czasami jest to po prostu zerwanie współpracy międzyplemiennej – zwłaszcza w odniesieniu do dydaktyki. Nie zdarzają się już w zasadzie zajęcia prowadzone przez socjologów, na przykład na kulturoznawstwie. Na historii – z tego, co pamiętam – jeszcze tak. Jest to jest dosyć duży problem. Konsekwencją zmian demograficznych są także fenomeny, które nazwałbym bastardycznymi formami uspołecznienia. To jest to, o czym mówiła prof. Ziębińska-Witek – nowe fenomeny skupione wokół rozwiązywania bardzo konkretnych problemów przez przedstawicieli różnych nauk. Podkreślenie tego ostatniego rodzaju podróżowania i międzykontynentalnego wydało mi się istotne, ponieważ wskazuje na to, że mamy dosyć ograniczone możliwości określania reguł, które definiują naukę. Są one dzisiaj stanowione na zewnątrz, co można traktować jako przeszkodę, ale można widzieć w tym szansę. W każdym wypadku to wymaga bardzo głębokiego przemyślenia naszej tożsamości i pozycji w obrębie świata społecznego.

Jan Sowa: Tak jak Marek Krajewski, w swojej pracy badawczej działałem w modelu transdyscyplinarnym, interdyscyplinarnym, unidyscyplinarnym czy antydyscyplinarnym – to ostatnie to takie fajne określenie, sformułowane w odniesieniu do Michela Foucaulta. Ta antydyscyplinarność ma tutaj podwójny sens, bo rzeczywiście dyscyplinarność i dyscyplina są praktykami władzy. Jakie jest moje doświadczenie? Otóż – powiedziałbym, że moja edukacja była dość meandryczna. Zacząłem studia od polonistyki, przestudiowałem dwa lata, nie za bardzo mi się podobało, przenieśliem się i zacząłem studiować psychologię. Będąc na trzecim roku stwierdziłem, że coś bym chciał do tego dołożyć, więc zacząłem studiować filozofię. Z tych wszystkich rzeczy skończyłem jedno, czyli psychologię, doktorat zrobiłem z socjologii, a habilitację z kulturoznawstwa. Dlaczego o tym mówię? To, co pozwoliło mi się przemieszczać dość sprawnie pomiędzy tymi dyscyplinami i obszarami czy też dziedzinami – bo teraz mamy ich część w naukach humanistycznych, a część w społecznych – to fakt, że metodologia w istotnym aspekcie scala lub też ułatwia komunikację między dyscyplinami. Jasne, że każda z dyscyplin czy dziedzin ma swoje własne narzędzia, na przykład psychologia rzadko posługuje się obserwacją uczestniczącą, a socjologowie

8 M.in. w artykule: H. Novotny, *Real science is excellent science – how to interpret post-academic science, Mode 2 and the ERC*, „Journal of Science Communication” 5/2006 (przyp. redakcji).

zdecydowanie rzadziej robią eksperymenty niż psychologowie. Natomiast mamy ogromny obszar, zarówno jeśli chodzi o podejście jakościowe, jak i ilościowe, który te różne dyscypliny unifikuje. Metodologia zatem jest tym, co w zdecydowany sposób ułatwia komunikację pomiędzy dyscyplinami.

Tak jak dla moich przedmówców jest dla mnie jasne, że podziały dyscyplinarne narzucone są przez kwestie zewnętrzne wobec wiedzy jako takiej i wobec zjawisk w świecie. W świecie nie ma czegoś takiego jak „zjawiska socjologiczne”, „psychologiczne” czy „ekonomiczne”. Mamy pewne całości i pewne formacje, które różne dyscypliny od różnych stron próbują złapać czy ugryźć, natomiast te zjawiska same z siebie nie mają takiej natury, jak podział dyscyplinarny mógłby sugerować. Problemy ma nie tylko historia, o czym mówiła prof. Solarska. Moim doświadczeniem jako socjologa, który zajmował się rozwojem i kwestiami gospodarczymi, jest bardzo rozczarowująca dyskusja z ekonomią. Ekonomii wydaje się, że nie jest nauką społeczną. Ekonomia ma ambicje, by być ściśle scjentyistyczną nauką i zakłada, że istnieją czyste procesy ekonomiczne, a cała reszta to są „zmiennie zakłócające”. Najlepiej się ich pozbyć, bo wtedy mielibyśmy czyste procesy ekonomiczne i moglibyśmy je badać. To jest podejście dość naiwne i dla socjologa mało interesujące.

Poza antydyscyplinarnością i unidyscyplinarnością – to jest z kolei pomysł Immanuela Wallersteina z *Unthinking Social Science*⁹ – pozostałe terminy, które przytoczyłem przed chwilą, są moim zdaniem mało obiecujące. Wydaje mi się, że inter- i transdyscyplinarność jest rodzajem pseudopostępu. Jedno i drugie podejście potrzebuje dyscyplin, by w ogóle funkcjonować, bo po to, by być inter- lub trans- trzeba zachować podział dyscyplinarny i w nim się poruszać. Likwidacja podziałów dyscyplinarnych jednocześnie zlikwidowałaby sens pojęć inter- i transdyscyplinarności. Dla mnie zatem postępowość tych propozycji jest ambiwalentna, bo one zakładają coś, co niby starają się zniszczyć. Warunki ich możliwości są jednocześnie warunkami ich niemożliwości.

Co robić w związku z tym? Co tutaj jest interesujące? Wydaje mi się, że trzeba by zainteresować się takimi podejściami, które już źródłowo są chmurą, hybrydą. Ciekawe jest w tym kontekście pojęcie łączące Deleuze'a i Guattariego, które jakoś słabo w Polsce funkcjonuje – może dlatego, że ich książki nie są przetłumaczone. Prof. Rewers mówiła o chmurze, a ja myślę, że łączyłoby równie dobrą metaforą czy modelem, który moglibyśmy tutaj postawić. Podejście, które wiąże się z „nową humanistyką”, a więc wszystko co ma w nazwie *studies* – studia, jest w tym sensie już źródłowo „zachmurzone” czy „skłaczowane” dlatego, że wychodzi się od przedmiotu, którym się interesuje i jest jasne, że potrzebne są różne metody czy struktury pojęciowe należące do różnych tradycyjnych nauk po to, by ten przedmiot zbadać. To jest jeden z powodów, dlaczego ostatecznie wylądowałem w kulturoznawstwie – *cultural studies*. Na etapie habilitacji napisałem książkę, która, moim zdaniem, mogłaby być

9 I. Wallerstein, *Unthinking Social Science: The Limits of Nineteenth-Century Paradigms*, Temple University Press, Philadelphia 2001.

także obroniona jako praca socjologiczna, chciałem jednak uniknąć pytania, które na pewno by się pojawiło: „Czy to co Pan robi, to jest socjologia?”. W kulturoznawstwie jest taki luksus, że tego rodzaju pytań nie ma. Także socjologia kulturowa, o której mówiła prof. Rewers, jest mi także bliska – promotorem mojego doktoratu był prof. Zdzisław Mach, który jest antropologiem kulturowym, więc przeszedłem przez szkołę socjologii, ale bliską badaniami kulturowym.

To jest taka standardowa odpowiedź mówiąca o studiach, która odwołuje się do praktyki badawczej, ale chciałbym zaproponować jeszcze inne rozwiązanie. Mamy w naukach społecznych bardzo ciekawe podejście do wiedzy i dyscyplinarności, które jest wykorzystywane dzisiaj w niewielkim stopniu. Chodzi o podział, który zaproponował Jürgen Habermas, żeby wiedzę dzielić nie ze względu na to, jak jest instytucjonalnie zorganizowana jej produkcja czy co jest jej przedmiotem, tylko ze względu na to, jakie są jej źródła i motywacje, które stoją za produkcją tej wiedzy. To jest podział, który zapewne Państwo znają – tylko przypomnę krótko. Habermas uważał, że mamy trzy rodzaje zainteresowań: techniczne, praktyczne i emancypacyjne. Każdemu z nich odpowiada pewien rodzaj wiedzy: wiedza instrumentalna, która odpowiada na zapotrzebowanie techniczne – wyjaśnianie przyczynowo-skutkowe, manipulacja światem materialnym i rzeczywistością; wiedza praktyczna, która odpowiada na zainteresowanie praktyczne ze sfery ludzkiego już świata, czyli takie, które dąży do komunikacji, interpretacji, rozumienia itp.; wreszcie, mamy wiedzę emancypującą czy emancypacyjną, która jest wiedzą refleksyjną i odpowiada na potrzeby krytyki i wyzwolenia i temu odpowiadają odpowiednie metody badawcze. To jest bardzo ciekawe: metoda nauk pozytywistycznych, metoda interpretacyjna – hermeneutyczno-historyczna i krytyczne nauki społeczne, które posługują się metodą krytyczną. Jest to bardzo ciekawy podział, bo jest to jednocześnie podział wiedzy i odpowiadających tym rodzajom wiedzy metodologii. Zmusza nas też do przemyślenia w radykalny sposób mitu o wolności od wartościowania, który zresztą jest bardzo żywo dyskutowany w naukach społecznych i humanistycznych, co wydaje mi się słuszne. Nie wierzę w możliwość wolności od wartościowania. Sama pozycja afirmacji wolności od wartościowania jest wartościowaniem. Tak naprawdę najbardziej nieuczciwa jest pozycja kogoś, kto mówi, że nie wartościuje, chociaż tak naprawdę od tego nie da się uciec. I w związku z tym wartościuje, tworząc złudzenie tego, że jego/jej wiedza jest wolna od wartościowania.

W obrębie tego trzeciego typu – to ostatnia rzecz, o której chciałbym powiedzieć – dyscyplinarność jest źródłowo zanegowana. Jako przykład powiem o praktyce badań, które częściowo przynależą do badań partycypacyjnych, ale zasadniczo mówi się o nich *militant research*, czyli badania bojowe. To jest bardzo ciekawa metodologia i praktyka współbadań (ang. *co-research*), gdzie zakłada się, że badacz nie jest zdystansowanym komentatorem, który przychodzi z zewnątrz, ale bierze udział w konstrukcji pewnego podmiotu. Ten podmiot zawsze jest także podmiotem politycznym, w sensie polityki rozumianej jako kształtowanie sposobu bycia razem, nas jako wspólnoty ludzkiej. Podam jeden, konkretny

przykład: pojęcie, które stosunkowo niedawno się pojawiło i w nauce i w dyskursie publicznym, a obecnie robi wielką karierę, a mianowicie pojęcie prekariatu. Prekariatem jako pierwsi zainteresowali się badacze społeczni, którzy byli jednocześnie w ruchu politycznym, należącym do tradycji postoperalistycznej czy też marksizmu postautonomistycznego we Włoszech. Od końca lat 90. do początku lat dwutysięcznych prowadzili badanie, które jednocześnie było współbadaniem. Było ono bardzo mocno zaangażowane w tworzenie frontu walki politycznej. Mam na myśli takich badaczy jak Anna Curcio, Gigi Roggero, Andrea Fumagalli, a ze starszego pokolenia – Franco „Bifo” Berardi, Paolo Virno czy Antonio Negri. Związany z tą refleksją ruch narodził się we Włoszech wokół „fikcyjnego” świętego – San Precario (stawiam określenie „fikcyjny” w cudzysłowie, bo nie ma, moim zdaniem, innych świętych, chcę go jednak jakoś odróżnić od świętych w tradycyjnym rozumieniu), który miał być patronem prekariuszy. Były to badania prowadzone w ramach inicjatyw pozaakademickich takich jak UniNomade czy międzynarodówka Edu-factory. Badacze i badaczki z nimi związani zauważyli określone zjawisko i mogli je przebadać dlatego, że byli bezpośrednio zaangażowani w proces polityczny i społeczny. Odwołując się do słów prof. Krajewskiego, była to podróż międzykontynentalna, wyjście w zupełnie inny rejestr i podejście do generowania wiedzy jako praktyki, ponieważ praktyka jest częścią świata, w którym żyjemy, a nie częścią biurokratycznych podziałów. Z konieczności są to badania trans- czy interdyscyplinarne. W badaniach prekariatu jest socjologia, jest element historii gospodarczej, ekonomia, ale również filozoficzne kategorie tam pracują. W odniesieniu do organizacji prekariatu pojawia się Spinozjańska kategoria wielości. Jest to przykład praktyki jednocześnie badawczej, społecznej i politycznej, która źródłowo przekracza podziały, a nie operuje w ich obrębie.

A. Z.-W.: Chciałabym zgłosić pewną wątpliwość do tej części wypowiedzi Pana prof. Sowy, w której mówił o tym, że metodologia łączy. Oczywiście każda dyscyplina wypracowuje swój własny zestaw narzędzi analitycznych i spotkanie dyscyplin to spotkanie tych narzędzi. Uczestnicy takiego spotkania mogą się orientować w narzędziach, które wykorzystują inne dyscypliny, ale jest to raczej tzw. niski konsensus (określenie Krzysztofa Arbiszewskiego¹⁰), to znaczy że, badacze wyspecjalizowani w wielu dziedzinach porozumiewają się na podstawowym poziomie. Powstaje jednak pytanie, czy są w stanie w sposób mistrzowski wykorzystać obce sobie metodologie? Czy wychodzą poza niski konsensus, czyli porozumienie wstępne, i dokonują faktycznie głębokich odkryć, czy kreują nowe koncepcje? Zastanowiła bym się nad tym, bo to, o czym Pan prof. Sowa powiedział, jest założeniem bardzo optymistycznym.

J.S.: Zgadza się. Nie powiedziałem, że ta metodologia jest taka sama, natomiast ona tworzy jakiś rodzaj wiązania czy splotu. Wydaje mi się, że niski konsensus jak na początek, to nie jest tak źle. Gdy popatrzymy na konkretne metody badań

10 K. Arbiszewski, *Pogranicze, wykluczanie, krzyżowanie, emigrowanie*, [w:] tenże, *Wszystko otwarte na nowo. Teoria Aktora-Sieci i filozofia kultury*, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2010.

jakościowych, badania ankietowe lub różne rodzaje wywiadów, metody te otwierają pole dla transferu badawczego pomiędzy socjologią, psychologią czy antropologią. Problem jest taki, że często specjalizacja metodologiczna nie pozwala komunikować się nawzajem. Nie rozumiemy samych wyników swoich badań, bo jesteśmy bardzo okopani w pewnych paradygmatach, więc jeżeli gdzieś jest taki naturalny most, który łączy dyscypliny, to on pojawia się w metodologii, i choć całkowicie się zgadzam, że to słaby konsensus, ale jest to już coś na początek.

M.M.: Próbuując znaleźć wspólne punkty Państwa wypowiedzi, chciałam dopytać o komunikację i język. Mówili Państwo o tym, że w gruncie rzeczy między dyscyplinami trudno jest znaleźć porozumienie. Różnią się nie tyle metodologie, które mogłyby być wspólną platformą porozumienia, lecz mamy wyraźne instytucjonalne podziały dyscyplin. Wspólne punkty i uogólnienia pojawiały się w Państwa wypowiedziach za sprawą odwołania się do metafor. Przywoływali Państwo obrazy chmury, podróżowania, plemion. Chciałam zapytać o metafory, którymi posługujemy się często automatycznie w praktyce badawczej: czy mogą być one elementem fundamentalnym i pierwszym w szukaniu transdyscyplinarności, skoro ich rozumienie w ramach każdej z dyscyplin może być absolutnie różne?

E.R.: Metafory nie są niewinne, mówił Derrida, i tego bym się trzymała. Uwikłane w nie słowa i terminy – na przykład „podróż” – mogą być wykorzystane do różnych celów, czyli wchodzić w skład różnych metafor, pomiędzy którymi są nikłe, czasem nawet wprowadzające w błąd, powiązania. Chciałabym podać taki właśnie przykład zaczerpnięty z dzisiejszego wprowadzenia. Dotyczy on wykorzystania słowa „podróż”. Pan prof. Krajewski mówił o podróżach, które wybierają i organizują badacze, prowadzących poza dyscyplinę, poza naukę itd. Badacz w tej perspektywie opuszcza swoje laboratorium, swoją wieżę z kości słoniowej, swój etos i wyrusza w poszukiwaniu nowych idei, nowych obywatelskich zobowiązań, środków do życia. Metafora podróży stanowi zatem substytucję różnych czynności podejmowanych przez badaczy. Tę metaforę uczynił sposobem porządkowania swojej wypowiedzi prof. Krajewski. Istnieje wszakże inny typ metafory, która pokazuje sposób tworzenia się nowych znaczeń, kreuje sens nieobecny w języku nauki i ona również wykorzystuje słowo „podróż” – to epistemologia podróży zaproponowana przez Michela Serres’a, który w ramach swoich badań nad komunikacją w obrębie nauki, a także między humanistyką, sztuką i naukami twardymi, zapoczątkowanych w książce *Hermes: Literature Science, Philosophy*¹¹, a więc nad tym, w jaki sposób nauki transmują, przekazują dalej wytworzone informacje, wyróżnił nowy typ epistemologii opartej na figurze podróży. Pozornie chodzi o to samo – o przekraczanie granic w trakcie podróży. W rzeczywistości jednak w pracy Serres’a powstała koncepcja przejść i połączeń między strategiami poznania, nazywanymi epistemologią. W pierwszym wypadku mamy zatem podróż jako rodzaj działania, w drugim,

11 M. Serres, *Hermes: Literature Science, Philosophy*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore–London, 1983.

podróż jako rodzaj poznania. Serres używał słowa „podróż”, a używał go odwołując się do innej figury – Hermesa jako boga komunikacji – do hermeneutyki jako poznania nie tylko w obrębie języka, umożliwiającego podróż przez wszystkie dyscypliny, nie tylko humanistyczne. Można by powiedzieć, że domagał się, aby podróż była czymś w rodzaju rozwarstwionej świadomości metodologicznej, która wsparta jest na współczesnym rozwoju technologii, ale również na starych motywach, które znajdujemy w mitologiach czy w sposobach myślenia powiązanych z podróżą, na sztuce i odkrywanych prawach przyrody. To samo słowo – „podróż” – daje początek dwóm różnym teoretycznie i znaczeniowo metaforom, które służą dwóm różnym zadaniom, bo wyrażają dwie różne koncepcje wyjścia poza własną dyscyplinę nauki.

M.K.: Ja bym chyba poszerzył pytanie. Wydaje mi się, że odnosi się ono do możliwych modeli współpracy i tego, jak modele współpracy dyscyplinarnej konkurują ze sobą. Jeden z tych modeli dotyczy właśnie zapożyczania metafor – jest bardzo użytkowy i instrumentalny. Druga czy trzecia strona jest traktowana jako rodzaj zasobnika różnego rodzaju materiałów, które możemy do swojej dyscypliny przewieźć i zrobić z nich użytek, natomiast nie ma w tym relacji zwrotnej. Dużo lepszym, bardziej efektywnym i rozwijającym naukę jest model, który można by nazwać prosumenckim. Pewnie obrażą się na mnie siedzący na sali antropologowie, ale wielokrotnie przeglądałem podręczniki dotyczące antropologii miasta i one tak naprawdę są powieleniem, w nieco innym języku, socjologii miasta. Natomiast tym, co dzieje się na poziomie podręczników i później badań antropologicznych, a więc zapożyczenie pewnych koncepcji, metod, sposobów widzenia jest produktywnie. Wiedza na temat miasta stworzona w tym wypadku wraca do socjologii. I ten rodzaj dialogu wydaje mi się najbardziej optymalny. Coś pożyczamy – metafory, narzędzia, język – ale następnie to rozwijamy. To samo się stało na przykład z Goffmanem i performatyką. Dramaturgiczna koncepcja Goffmana przenikła i tak naprawdę ufundowała performatykę, ale performatyka dodała coś do socjologii. Na takiej zasadzie widziałbym również zapożyczanie języka i słów.

J.S.: Jeśli chodzi o trudności z komunikacją, trudno to uogólnić. Inaczej będzie to wyglądało w każdym konkretnym spotkaniu dwóch specjalistów czy specjalistek z różnych dyscyplin. Moje doświadczenie w tym zakresie jest wąskie, ale istotne. Jest to doświadczenie bardzo trudnego dialogu mojego, jako socjologa i kulturoznawcy, z przedstawicielami nauk historycznych. Problem z pojęciami występuje nie dlatego, że one się rozjeżdżają, tylko że chodzi o różny stopień wysycenia tych pojęć w ramach różnych dyscyplin. Problem z głównym nurtem historiografii jest taki, że jest to podejście w małym stopniu pojęciowe. W mojej opinii historiografia w Polsce, poza nielicznymi wyjątkami, nie jest nauką pojęciową. Świetnym wyjątkiem jest książka *Klientela* Antoniego Mączaka¹². Co robi Mączak? Nie siedzi w archiwach, nie wyciąga nowych faktów, których nie

12 A. Mączak, *Klientela. Nieformalne systemy władzy w Polsce i Europie XVI–XVIII w.*, Semper, Warszawa 2000.

znamy. Bierze materiał, który doskonale znamy, czyli relacje w świecie sarmackim i magnackim, tyle tylko, że opisuje je za pomocą antropologicznej koncepcji patronażu i klienteli. Sydel Silverman, to jest nazwisko, które Mączak przywołuje. To bardzo inspirująca praca, która pozwala mi, jako socjologowi i kulturoznawcy, zobaczyć, jak działają tam pojęcia. Historycy chyba nie przyjmują do wiadomości, że to pojęcia organizują dane. To jest naiwny empiryzm, że są fakty i że możemy je opisać bez pojęć. Tutaj jestem zdecydowanie Kantystą, zwolennikiem syntezy kategorii które mamy – intelektu i danych, które przychodzą. Problem nie polega na tym, jakie są pojęcia w socjologii, a jaki schemat pojęciowy historii, tylko że – powiem, upraszczając – główny nurt badań historycznych zachowuje się jak rozbudowana forma wiadomości telewizyjnych dostarczających nam wiedzy na temat przeszłości: w którym roku dany król wstąpił na tron, a w którym roku stoczył bitwę. To jest oczywiście opisane szczegółowo, ale to jest działanie transdukcyjne. Wiemy o tym, że do opisu współczesnego świata potrzebujemy gigantycznego korpusu wiedzy: socjologii, antropologii, kulturoznawstwa, a także wszystkie studiów, które mamy. Historycy uważają, że dla opisu społeczeństw historycznych wystarczą trzy pojęcia na krzyż i podanie faktów i to jest dla mnie gigantyczny problem komunikacyjny.

A. Z.-W.: Z jednej strony muszę zgodzić się z Panem prof. Sową. Główny nurt historiografii – historiografia klasyczna – posługuje się językiem potocznym. Jednak z drugiej strony – istnieje też nurt historiografii nieklasycznej, który jest silnie uteoretyczniony i „upojęciowiony”, inna rzecz, że niespecjalnie popularny wśród tzw. tradycyjnych historyków. W tym kontekście warto również przytoczyć określenie „wędrujących pojęć” czy „wędrujących koncepcji” autorstwa Mieke Bal¹³. W całej humanistyce są takie kategorie, które się przemieszczają i nie są przyporządkowane do jednej dyscypliny. Takimi pojęciami są na przykład „narracja” czy „wizualność”, które obecnie możemy odnaleźć w praktyce w większości dyscyplin humanistycznych. Jednak – żeby nie było zbyt łatwo i zbyt transdyscyplinarnie – każda z nich definiuje je na własny sposób i trzyma się swojej definicji. Często nawet jednostkowi badacze, kiedy zaczynają pisać na jakiś temat, definiują te kategorie na własny sposób.

Mam jeszcze jedną wątpliwość związaną z możliwością komunikacji między naukami społeczno-humanistycznymi i matematyczno-przyrodniczymi. Pani prof. Rewers w pierwszej wypowiedzi wspomniała o pracy Charlesa Snowa *Dwie kultury*, w której badacz ostro zarysował podział między tzw. „twardymi naukowcami” i humanistami, czyli tradycyjnymi intelektualistami. Snow prognozował, że ze względu na trudność języka matematycznego naukowcy będą się z publicznością porozumiewać za pośrednictwem humanistów, co nigdy tak naprawdę nie nastąpiło. Jeszcze w latach 90. XX wieku wyżej zarysowany podział był widoczny, a obecnie mamy do czynienia ze zjawiskiem nowym, tzw. „trzecią kulturą” – to także pojęcie wywodzące się od Snowa – gdyż matematycy, fizycy i przyrodnicy sami (bez pośredników) porozumiewają się z szerszą

13 M. Bal, *Wędrujące pojęcia w naukach humanistycznych. Krótki przewodnik*, przeł. M. Bucholc, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2013.

publicznością. Obecnie bardzo wiele artykułów w prasie dotyczy wiedzy ścisłej: neuronów, genów, biologii molekularnej, fizyki kwantowej i to właśnie te nauki, a nie humanistyka, zaczęły kształtować nasz pogląd na świat. Wydaje mi się zatem, że są granice w komunikacji i do tej pory nie został wykształcony *modus vivendi* porozumienia między wiedzą ścisłą i humanistyczną.

M.S.: Czuję się wywołana do obrony historii, choćby z powodów lojalnościowych. Reprezentuję taką dziedzinę badań historycznych, z którą nikt nie wie, co ma zrobić. To jest przykład tego, jak wygląda trans- czy interdyscyplinarność w praktyce, ponieważ zajmuję się metodologią historii w poznańskim wydaniu, czyli badamy historiografię od strony refleksji, czerpiącej w dużym stopniu z filozofii, socjologii i kulturoznawstwa. W związku z tym nikt nie wie, co to jest ta metodologia historii. Historycy nas przygarnęli, ponieważ filozofowie nie uważają, by nasza refleksja była filozoficzna, a socjologowie nie uznają nas, za żadne skarby, za socjologów, może mając rację, podobnie kulturoznawcy. Historycy przygarnęli nas, umieszczając w szufladce „historyków nienormalnych”, więc – w związku z tym przygarnięciem – jestem zobowiązana przez lojalność do obrony historii, ale zrobię to też z przekonania. Po pierwsze, mówiąc o historii, musimy pamiętać, o jakim rodzaju historii, historiografii i praktyki historiograficznej mówimy. Czy mówimy o dyscyplinie w jej wydaniu światowym, europejskim czy lokalnym, krajowym. Różnice są bardzo duże, jeśli chodzi o sposób uprawiania, o myślenie, jakie jest w niej reprezentowane. Jedną z najważniejszych różnic w wyglądzie historiografii światowej i historiografii polskiej wynika z poziomu uteoretycznienia badań. W Polsce historycy z dużą nieufnością podchodzą do wszelkiej refleksji teoretycznej, w tym metodologicznej, nad swoimi badaniami. Te powody są po części historyczne – mam ukrytą teorię, że są to konsekwencje konferencji otwockiej, które do dzisiaj kładą się cieniem na postrzeganiu metodologów przez historyków – natomiast z tego poziomu refleksji nad badaniami wynikają konsekwencje dla praktyki historiograficznej i to, w jaki sposób owo pole badawcze jest uprawiane.

Badania światowe są bardzo dynamiczne, to jest żywa, rozwijająca się dyscyplina. W Polsce mamy wiele ciekawych wydarzeń w praktyce historiograficznej, ale dominuje model tradycyjny. Jest on związany również z refleksją historii nad tym, czym ona jest, czym powinna się zajmować i okopywaniem się na pozycjach tradycyjnie ujmowanego przedmiotu badań i tego, kim historyk powinien być. Skoro już piłam do archeologów, to teraz piję *pro domo sua* – czy historykiem może być ktoś, kto nie miał kontaktu fizycznego ze źródłem? Czy historyk historiografii, który nie spędził ani jednego dnia w archiwum, może być historykiem? I co się stanie z historią jako nauką, jeżeli uznamy, że historykami są również ci, którzy nigdy oryginalnego pyłu archiwalnego nie wdychali?

Chciałabym również zwrócić uwagę, że w historii podstawowym problemem związanym z metaforami, oprócz tego, że historiografia jest zorganizowana wokół tego, co wspomniany prof. Wrzosek nazywa metaforami fundamentalnymi, czyli metaforą genezy i rozwoju, w historii największy problem mamy ze zmaganiem się z tym, żeby zrozumieć, że w ogóle język jest metaforyczny, czyli

żeby odnaleźć się w metaforycznej relacji do rzeczywistości, a nie w relacji metonimicznej. To jest to, o czym wspominał prof. Sowa. Problem z komunikacją z historykami wynika z tego, że w grę wchodzi pewne przyjęte sposoby ustalania relacji metaforycznej w taki sposób, aby wyglądała ona jak metonimiczna. Jest to związane z problemem „efektu rzeczywistości”, tak, aby opowieść historyczna była opowieścią prawdziwą o rzeczywistości minionej. Sposoby ustalenia owej prawdziwości najczęściej są upatrywane w warsztacie historyka. Historycy najczęściej postrzegają język jako przezroczystry w odniesieniu do owej rzeczywistości. Problem z porozumieniem i refleksją nad pojęciami jest drugoplanowy, bo dla wielu historyków to nie ma znaczenia. To są tylko narzędzia do opisanego, jaka rzeczywistość była. Tu nie ma co się zastanawiać, czy to znaczy to, czy tamto. To jest odwołanie do potocznego rozumienia, że wszyscy wiemy, co to znaczy, i w ten sposób konstruowana jest narracja historyczna, szczególnie w naszym kontekście lokalnym, krajowym. Bo inaczej wygląda historia w skali światowej. Przywołany Mączak jest jednym z niewielu historyków i historyczek, którzy są jak jaskółki, które wiosny jednak nie czynią. W skali światowej tych jaskółek jest znacznie więcej i tam tę wiosnę już widać. Jest nadzieja dla historii.

M.M: Mówiliśmy o transdyscyplinarności z różnych perspektyw, zastanawialiśmy się, kiedy ona jest możliwa, kiedy zaś niemożliwa i każdy z Państwa opowiadał o własnym doświadczeniu w prowadzeniu badań tego rodzaju. Chciałabym wprowadzić jeszcze jeden wątek i zapytać o figurę badacza. Jak zmieniają się nasze zadania i oczekiwania wobec osób, które prowadzą badania w momencie, kiedy stawiane jest pytanie o transdyscyplinarność?

E.R.: Chciałabym odwołać się do własnych doświadczeń z badań prowadzonych wspólnie zarówno z artystami, jak z przedstawicielami nauk ścisłych i przyrodniczych, bo tam dopiero dochodzi do starcia między różnymi modelami badaczy, a ich wzajemne oczekiwania ścierają się w sposób wyraźny. Dopóki rozmawiamy we własnym gronie – socjolog z antropologiem i kulturoznawcą – to możemy powiedzieć w zasadzie, że wspólnie potrafimy formułować zadania, z których później lepiej lub gorzej się wywiązujemy. Mamy swoje okopy dyscyplinarne, lecz kładki przez nie przerzucać nie tak trudno. Musimy też brać pod uwagę rozwarstwienie współczesnych nauk społecznych i humanistyki, czyli skłanianie się z jednej strony do nauk twardych, a z drugiej strony do zacierania granic pomiędzy sztuką i humanistyką. Kiedy się spotykają ludzie z pogranicza i wzajemnie oczekują od siebie współpracy, dopiero w prowadzonych przez nich badaniach widać rzeczywiste bariery. Moje doświadczenia są raczej pesymistyczne – a pracowałam i z architektami, i z akustykami, i z projektantami krajobrazu, a także z ekonomistami, a więc z przedstawicielami różnych dziedzin nauki. Budowanie projektu od początku jest utrudnione przez brak wspólnego słownika. W doborze metod prowadzenia badań są takie miejsca, w których wszyscy się okopujemy, i bywa że nie potrafimy zrobić kroku dalej. Czego dotyczą trudności najtrudniejsze do usunięcia? Tego, czego się wymaga od badacza w strukturze współczesnej nauki przede wszystkim, czyli sformułowania przewidywanego efektu. Co ma być efektem badań inter- lub transdyscyplinarnych?

nych? Każda z dyscyplin ma swoje wyobrażenie, czym ma się kończyć projekt i co w tym wypadku jest uznawane za pożądany efekt. To jest właśnie wymaganie, które przychodzi do badaczy w coraz większym stopniu z zewnątrz, z różnych instytucji naukowych, społecznych, politycznych. Formułowanie wymagań dotyczących efektów badań od wewnątrz bywa również często blokowane przez ideologiczną genealogię poszczególnych dyscyplin. Badacze wyrażają na początku gotowość współpracy, potrafią sformułować wspólny przedmiot badań, natomiast granice nabierają znaczenia wtedy, kiedy mamy powiedzieć co uważamy za satysfakcjonujący efekt badań.

M.S.: Dla równowagi powiem coś optymistycznego, broniąc znowu naszych lokalnych historyków. Moim zdaniem współcześnie widać otwarcie się na dialog, na przykład z metodologami. Z jednej strony, nadal mamy okopywanie się na pozycjach, ale z drugiej – wyglądanie z owych okopów w kierunku budowania współpracy z innymi dziedzinami i poszukiwania wspólnych dróg. Jest to związane z sytuacją społeczną i miejscem historii w jej ramach. Z jednej strony mamy do czynienia z bardzo mocną ideologizacją historii, z jej używaniem bardzo instrumentalnym w życiu politycznym, z drugiej – jest bardzo idealistyczny opór badaczy, którzy chcieliby zachować szlachetną naukowość historii. Badacze, którzy czują się bezbronni wobec politycznych nadużyć historii, poszukują sposobów by obronić ideał historii, i jest to ideał, o który warto walczyć.

A. Z.-W.: Osobiście widzę dwa rodzaje wyzwań stojących współcześnie przed badaczami – wyzwania średniego zasięgu oraz bardzo poważne. O wyzwaniach średniego zasięgu mówiłam na początku naszej dyskusji, chodzi mianowicie o potrzebę edukacji interdyscyplinarności. Już w momencie kontaktu ze studentami należy wychodzić poza swoją/jedną dyscyplinę. Wbrew pozorom nie jest to proste, bo oznacza przełamanie rutyny, a tymczasem (skrajne przypadki) są wykładowcy, którzy głoszą latami te same wykłady. W każdym razie wychodzenie poza swoją dyscyplinę i trening ku interdyscyplinarności wydaje mi się w obecnych czasach nie tyle możliwością, co koniecznością. Z drugiej strony, należy pamiętać, że całkowite rozmycie granic między dyscyplinami groziłoby ich zupełnym rozpadem i na dłuższą metę prowadziło do chaosu komunikacyjnego, a pojęcie inter- czy transdyscyplinarności straciłoby swą operacyjność.

Jednak poważniejszy problemem, przed którym stoją obecnie badacze humanistyki, dotyczy pojawiającej się zupełnie nowej perspektywy. Od końca lat 60. XX wieku humanistyka doświadczyła kilkadziesiąt „zwrotów”. Nie wszystkie niosły ze sobą wielkie zmiany (jak te przyniesione przez *linguistic turn*), ale zasadniczo wszystkie, które obecnie w humanistyce światowej są widoczne, to zwroty zaczynające się od przedrostków bio-, eko-, geo-, neuro-, które wskazują na pojawianie się nowego paradygmatu. Żyjemy w czasach po postmodernizmie i ten nowy paradygmat często jest określany jako paradygmat posthumanistyczny. Od 2008 roku, kiedy ukazała się książka Daniela Lorda *Smaila On Deep History and the Brain*¹⁴, można powiedzieć, że humaniści są zmuszeni do nauki

14 D.L. Smail, *On Deep History and the Brain*, University of California Press, Berkeley 2008.

nowych terminów i pojęć. Główną tezę Smaila, który wprowadza nowy paradygmat i pojęcie tzw. „głębokiej historii”, jest twierdzenie, że kombinacja kultury i neurochemii powoduje określone ludzkie zachowania oraz, że ewolucja kulturowa człowieka jest zapisana w jego mózgu i DNA. W związku z tym Smail postuluje, by powrócić do procesów kulturowych, które miały miejsce na początku dziejów ludzkości i przestać rozgraniczać kulturę od biologii, gdyż jedna z drugą nawzajem się determinują i to neurohistoria jest naszą głęboką historią kulturową.

Nie wartościuję i nie oceniam tego paradygmatu, chcę tylko powiedzieć o jego konsekwencjach. Postulat jest taki, że humaniści, aby coś sensownego o świecie nas otaczającym powiedzieć, powinni znać wiedzę biologiczną, a biolodzy – humanistyczną. I to jest wyzwanie dużego kalibru. Tak jak wcześniej wspomniałam zajmuję się muzeologią i w tej dyscyplinie pojawił się doskonały przykład zastosowania w praktyce nowego paradygmatu. Mam na myśli neuro-muzeologię, czyli badanie tego, w jaki sposób nasz mózg zachowuje się w „sytuacji muzealnej”. Kontekst muzeum nie jest kontekstem naturalnym, lecz sztucznie wykreowanym i ludzki mózg wypracował sobie sposoby orientacji w przestrzeni, w której stosuje się całkowicie odmienne kody komunikacyjne i obowiązuje inny przekaz. Są to tematy trudne chociażby dlatego, że zakładają wykorzystanie takich narzędzi, jak rezonans funkcjonalny. Badanie aktywności ludzkiego mózgu wymaga zrozumienia specjalistycznej terminologii i podstaw wiedzy neurologicznej. Na tym podłożu powstają także inne, bardzo ciekawe nauki z przedrostkiem neuro-, na przykład neuroestetyka, z ramach której prowadzone są badania nad ludzką wyobraźnią. To są wyzwania, które obecnie stoją przed humanistami.

M.K.: Powiedziałbym o trzech wyzwaniach: po pierwsze, mam wrażenie wzajemnego instrumentalizowania się przed przedstawicielami poszczególnych nauk. Kiedy ta trans-, i interdyscyplinarność dochodzi do skutku, to najczęściej przyjmuje postać wzajemnego czerpania od siebie, za którym nie idzie rozwój tego, co znajduje się pośrodku. Po drugie, i to jest doświadczenie z projektu, który teraz realizuję, dotyczącego polskiego świata sztuki. W projekcie tym współpracują ze sobą socjologowie, historycy sztuki, artyści i kulturoznawcy. Jest w tej chwili początek czerwca, projekt się rozpoczął na początku roku, a my jesteśmy na etapie uzgadniania bardzo podstawowych pojęć i paradygmatów dyscyplin, które przez siebie reprezentujemy. I trzecia, chyba najważniejsza rzecz – kwestia autonomii nauki i zastanowienia się, kto dzisiaj wyznacza cele badań i określa, w jaki sposób wyniki naszych analiz powinny być komunikowane, oraz przez kogo badania są finansowane – ten ostatni problem jest absolutnie kluczowy w sytuacji, w której się dzisiaj znajdujemy. Jeśli chodzi o finansowanie nauki, musimy poszukiwać zewnętrznych, pozanaukowych źródeł finansowania, a to niewątpliwie wiąże się z tym, że to już nie my decydujemy o kierunkach dróg, którymi podążamy i celach, które realizujemy w trakcie badań.

J.S.: Mam dobre doświadczenia współpracy nie tyle inter- czy transdyscyplinarnej, ale wspólnego działania i wspólnej pracy badawczej z przedstawicielami zupełnie innych światów i kontynentów. Jest to moje spotkanie z jednej strony ze światem aktywizmu, a z drugiej – ze światem sztuki. Być może to też kwestia przełożenia tego na dyskurs publiczny. Tym, co często przeszkadza w tego typu przedsięwzięciach, oprócz kwestii pojęciowych i terminologicznych jest brak dobrej woli i założenia dobrej wiedzy. Co mam na myśli? Wszystkie dyscypliny w swoim głównym nurcie są przekonane, że mają właściwe narzędzia, by gromadzić wiedzę, którą chcą gromadzić, i że nikt z boku niczego nowego nie może wnieść. To jest podstawowy problem z wychodzeniem poza światy czy dyscypliny. Aby mogło dojść do wymiany, trzeba przyjąć pewną pozycję podmiotową: założyć, że druga strona, działając w dobrej woli, może coś wnieść do badań, które prowadzimy. Moje doświadczenia praktyczne są tu bardzo dobre. W tym roku na przykład zrealizowałem projekt w Oddziale Muzeum Narodowego w Warszawie, w Królikarni, który dotyczył fotografii Zofii Chomętowskiej i był spotkaniem historyków i historyczek sztuki, socjologów, filozofów, kulturoznawców, artystów, kuratorów. Był bardzo ciekawy, jeśli chodzi o generowanie wiedzy. Przykłady można mnożyć.

Pojawił się problem mediacji między światem a dyskursem publicznym i popularyzacją wiedzy. Dlaczego to nie humaniści są mediatorami, a przedstawiciele nauk ścisłych, chociaż wydaje się, że ci pierwsi mogliby to robić lepiej lub łatwiej, ponieważ mają predyspozycje do komunikowania? Otóż, bardzo często wynika to ze sposobu funkcjonowania dyskursu publicznego. W nim trzeba zagęszczać, upraszczać, skracać. Nie da się inaczej. Jeśli jakiś tekst lub inna wypowiedź jest podpisana przez profesora nauk ścisłych – biologii czy fizyki – to uproszczenia w nim zawarte są traktowane jako ukłon w stronę funkcjonowania dyskursu publicznego. Zakładamy, że ten człowiek zna szczegóły, a na potrzeby sytuacji publicznej je upraszcza. Jeżeli to samo zrobi humanistka, to zakłada się, że ona się nie zna i upraszcza, ponieważ nie rozumie złożoności sytuacji. W rezultacie jej narracja jest odrzucana z powodów pozamerytorycznych, a przyjmowana jest taka sama narracja przedstawiciela nauk ścisłych. I o to mi chodzi w założeniu dobrej woli i dobrej wiedzy. Jeśli to „spotkanie plemion” ma być wyjściem poza kontynenty, to trzeba założyć dobrą wolę obu stron.

Włodzimierz Piątkowski: Właściwie nie chciałem zabierać głosu, ale Pan prof. Krajewski użył terminu „medycyna” i to mnie skłoniło do wypowiedzi. Przez 13 lat byłem przewodniczącym sekcji socjologii medycyny w Polskim Towarzystwie Socjologicznym, a teraz – i to jest przyczynek do rozmowy o *team approach* – przewodniczącym tej sekcji jest kardiolog, prof. Skrzypek. Nasza książka, która ukazała się w IFiS-ie z okazji pięćdziesięciolecia socjologii medycyny pod redakcją prof. Antoniny Ostrowskiej i prof. Michała Skrzypka, symbolizuje to, że już od 1963 roku kolonizujemy świat medycyny. Trudny to świat, bo jest pełen stereotypów i uprzedzeń ze strony nauk przyrodniczych, ale wydaje się, że jeżeli na 14 uniwersytetach medycznych mamy katedry czy zakłady nauk humanistycznych, albo jak w Lublinie – samodzielną pracownię socjologii

medycyny i mamy 1200 godzin na wszystkich uniwersytetach w skali kraju, to jest to jakiś wymierny sukces. Już nie mówię o doświadczeniach zachodnich, bo jak Państwo wiecie, socjologia medycyny i socjologia zdrowia uznawana jest za jedną z dwóch najszybciej rozwijających się subdyscyplin na Zachodzie. Symbolem tej pięćdziesięcioletniego doświadczenia interdyscyplinarności w Polsce jest osoba prof. Magdaleny Sokołowskiej, która była wiceprezydentem ISA (International Sociology Association) od 1979 roku. Jest to świadectwem uznania jej osoby, ale też dyscypliny. To właśnie prof. Sokołowska użyła w 1966 roku terminu „hybryda intelektualna”. Opisała to, odwołując się do swoich doświadczeń, a miała trzy doświadczenia: w czasie wojny ukończyła tajną, pielęgniarską szkołę, później zrobiła doktorat z epidemiologii i była lekarzem, a z trzeciego doświadczenia była socjologiem – w 1963 roku była to pierwsza habilitacja w Europie Centralnej z socjologii medycyny formalnej. To taki historyczny przyczynek do relacji między różnymi dyscyplinami. Także w „Studiach Socjologicznych” z 1981 roku jest artykuł prof. Małgorzaty Wrotniak *Socjologia a biologia*, opisujący historię zbliżania się tych dwóch światów. Kończąc, chcę powiedzieć, że w tej chwili w naukach medycznych dominują nauki o zdrowiu, i to jest świetna kategoria, w ramach której możemy wzrastać, bo zdrowie jest kategorią obrotową, która daje socjologii i antropologii medycyny możliwość ekspansji. Wszystkie koncepcje na pograniczu antropologii, socjologii i nauk o kulturze, a także socjo-ekologii stanowią świetną podstawę, by dalej kolonizować tak wielką i ważną naukę, jaką jest medycyna.

M.M.: Związek, o którym mówił Pan prof. Piątkowski, znakomicie pokazują badania związane z medycyną prowadzone w ramach humanistyki. Skoro mówimy tu o dyscyplinach i studiach, to można przypomnieć chociażby, że w obszarze studiów wizualnych niezwykle interesująco rozwijane są badania jakościowe prowadzone wspólnie przez badaczy wywodzących się z antropologii wizualnej i specjalistów w dziedzinie medycyny.

J.S.: Można jeszcze bardziej cofnąć się w czasie, do *Rękopisów ekonomiczno-filozoficznych* (1844) Marksa i marksizmu jako przedsięwzięcia, które wymaga uwzględnienia danych ekonomicznych, pojęć filozoficznych i socjologicznych po to, żeby wyjaśnić rzeczywistość. Latour świetnie to wyklada w książce *Nigdy nie byliśmy nowocześni*¹⁵. Hybrydyzacja i puryfikacja są ze sobą powiązane, jak na tej słynnej grafice M.C. Eschera – to są dwie, wzajemnie rysujące się ręce. Tyle tylko, że my jedno albo drugie ignorujemy. Hybrydyzacja zawsze była i to nie jest wynalazek nowej humanistyki XX wieku.

Katarzyna Kaniowska: Powrócę do bardziej ogólnych zagadnień. Mam wrażenie, że nie dotknęliśmy jeszcze jednej, bardzo ważnej kwestii. Trzeba by było porozmawiać także o wiedzy. Używano tu zamienne terminów nauka i wiedza, a wprowadzenie rozróżnienia między nimi nakierowałoby naszą rozmowę na inne tory i pokazało paradoksalną i niezwykle kłopotliwą sytuację, w której – zwłaszcza w humanistyce – się znajdujemy. Otóż, oczekujemy wiedzy komple-

15 B. Latour, *Nigdy nie byliśmy nowocześni. Studium z antropologii symetrycznej*, przeł. M. Gdula, Oficyna Naukowa, Warszawa 2011.

ksowej, wiedzy *trans*, tymczasem nauka nie jest na to przygotowana z powodów, o których wszyscy Państwo mówiliście. Kłopot zaczyna się w płaszczyźnie, w której wiedzę wytwarzamy, nauki, organizacji nauki i metodologii nauki. Czy widzicie Państwo problem rozziwu między wiedzą a nauką?

E.R.: Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie, przywołując bardzo konkretny przykład, powiązany z problemem, który dotyczy nazw dyscyplin i kierunków studiów. Wyłania się on z pytania, jakie są konsekwencje tego, że w nazwie dyscypliny znajdzie się wiedza (znawstwo) lub nauka (logia)? Przykład pochodzi z obszaru polskiego kulturoznawstwa, w którym w tej chwili mamy do czynienia z dość zabawną schizmą, która jednak mogłaby mieć poważne podstawy (a niestety nie ma) w tym, o czym mówiła Pani prof. Kaniowska. Z kulturoznawstwa wyłoniła się ostatnio kulturologia, co uznać wypada przede wszystkim za efekt poszukiwania innych inspiracji dyscyplinarnych (filozofia vs antropologia) i teoretycznych niż zacieśniania lub rozluźniania reżimów metodologicznych. Paradoksalnie, kulturoznawstwo wykazywało się od początku dążeniem do zachowania powiązań z logiką i formułowaniem dyrektyw metodologicznych, czego nie można powiedzieć o kulturologii. Czy zatem to ona jest nauką w odróżnieniu od kulturoznawstwa? Czy socjologia posługuje się metodami bardziej naukowymi niż językoznawstwo? Na czym miałyby polegać relacja między wiedzą (znawstwem) i nauką (logią) oraz jak powinna wpływać na klasyfikacje dyscyplin naukowych? Przykład kulturoznawstwa pokazuje też, że antropolog może wątpić, czy jest ono dyscypliną, której zadaniem jest dostarczenie czegoś więcej/mniej niż wiedzy. To jest konkretny spór, produkujący niejasne granice zamiast prowadzić do dyskusji, w której może problem sformułowany przez panią prof. Kaniowską mógłby zostać rozwiązany lub na nowo postawiony.

M.K.: Całkowicie zgadzam się z tym, że nauka nie jest przygotowana na nowe oczekiwania, które społeczeństwo wobec nas stawia – wiedzy zintegrowanej i nie jest przygotowana też na to, że wiedza nie jest produkowana tylko w obrębie świata naukowego. Bronienie autonomii nauki poprzez wskazanie na to, że jest to jedyny kontekst, w którym wiedza jest wytwarzana w sytuacji, w której mamy do czynienia z rewolucją profesjonalnych amatorów, rozplenieniem się wiedzy wytwarzanej oddolnie, w sieci, jest całkowicie zgubne i prowadzi do niczego. Brakuje mi więc ruchu na zewnątrz.

Adam Dzidowski: Padło tu wiele metafor, ale ja lubię metafory, chociaż zgadzam się, że nie są one niewinne. Metafory pozwalają nam uświadomić sobie różne kwestie na różnych płaszczyznach. I przyszła na myśl metafora *à propos* metafor podróży. Zapomnieliśmy o jednej jej wersji – metaforze podróży palcem po mapie. Bardzo często w badaniach trans-, inter- nigdzie się nie ruszamy. Nie chodzi nawet o to, że inne terytorium nie przychodzi do nas, tylko, że my nie idziemy gdzie indziej. Bardzo często w swoich badaniach wykorzystuję myśl Alfreda Korzybskiego, że mapa nie jest terytorium. A w badaniach jakościowych kwestia terenu i terytorium jest kluczowa. Wiele problemów się rozwiązuje, kiedy przestajemy wodzić palcem po mapie i wchodzimy w nowe terytorium i rzeczywiście odwiedzamy nowy kontynent. Wtedy kwestia komunikacji prze-

staje być problemem, bo rzeczywiście, na przykład mailując ze sobą, możemy się nie dogadać, ale kiedy razem budujemy dom z ludźmi, którzy może nawet mówią różnymi językami, wybudujemy ten dom, bo mamy wspólny cel. To jest wspólne działanie na tym samym terenie, dla wspólnego celu. W swoich badaniach, w których staram się łączyć sztukę z zarządzaniem tym wspólnym terytorium, jest design. Trudno się rozmawia z artystami, którzy mają pracować dla korporacji, ale jest to możliwe. Dlatego pewnie w medycynie współpraca tak dobrze się rozwija, bo jest wspólne terytorium i wspólny cel.

M.M.: Ostatni komentarz dobrze chyba podsumowuje nasze dzisiejsze rozważania. Bardzo dziękuję zaproszonym gościom i dyskutantom za udział w spotkaniu.